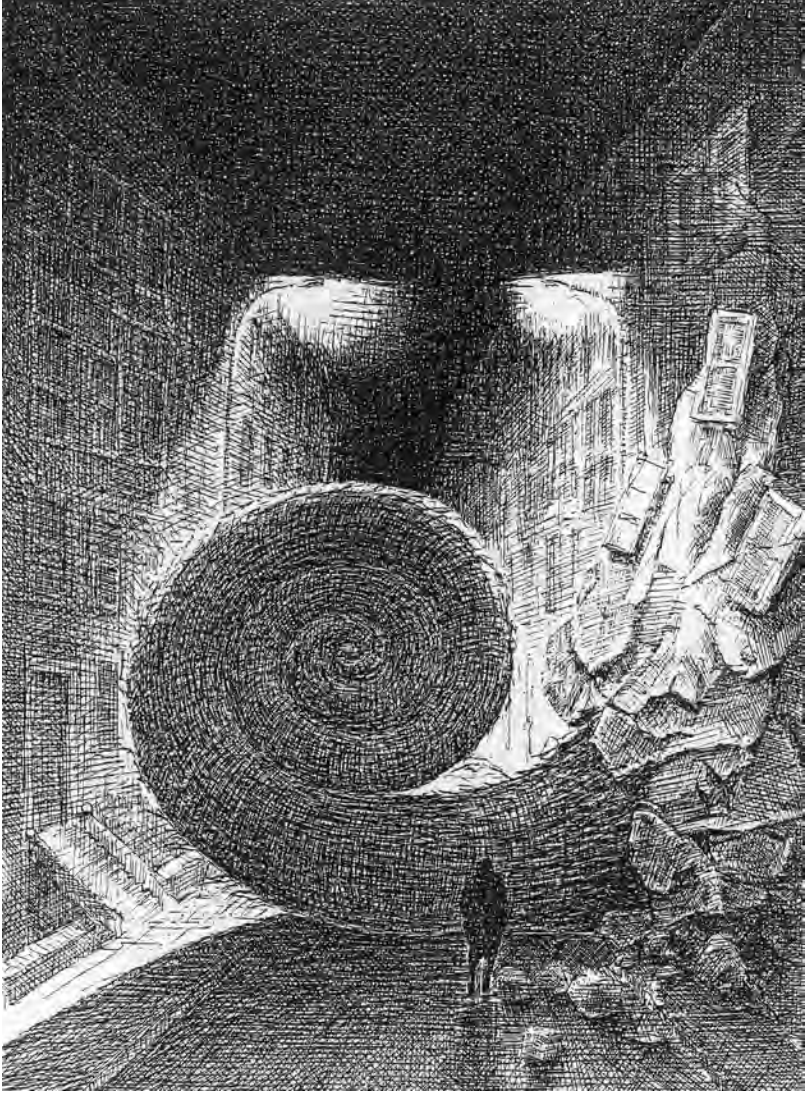




**LECH MAJEWSKI
SZCZURY
MANHATTANU**

LECH MAJEWSKI
SZCZURY MANHATTANU



LECH MAJEWSKI
SZCZURY MANHATTANU

*For he led us, he said, to a joyous land,
Joining the town and just at hand,
Where waters gushed...*

Robert Browning
The Pied Piper of Hamelin

1

Dostaniesz posadę recepcjonisty w renomowanym hotelu Waldorf Astoria: każdego dnia wejdiesz w łagodny granat głównego hallu i miniesz rząd białych kolumn oplecionych złotymi węzami, by stanąć za kontuarem z czarnego marmuru gotów na obsłużenie setek gości. W hallu, odgrodzonym od miasta grubymi murami, zalany niezmiennym blaskiem sztucznego światła, traci się poczucie czasu (odmierzają go jedynie przyplływające i odpływające fale gości), postarasz się jednak o nocne zmiany. Unikniesz w ten sposób nadmiaru obowiązków, powtarzających się pytań, gestów i odpowiedzi.

Śledząc linię złotych węży zaplątanych w kamienne kwiaty, oprzesz się o kontuar i, któryż to już raz, będziesz starał się zrozumieć, dlaczego z trwającego pięć lat związku z kobietą, którą kochałeś, z wyznań i planów zostały jedynie bolesne rany. I czemu znienawidziliście się do tego stopnia, że zmuszony byłeś wynająć małe mieszkanie na Wschodniej Sześćdziesiątej Trzeciej, by zamknąć się w samotności, niewierze i rozpacz.

Wiesz, że po pracy wstąpisz jak co dzień do małej pizzerii na Drugiej Alei, zamówisz *veal parmigiana*, spluczesz go zimną colą i pójdziesz prosto do domu, by zwalić się na łóżko i spać. Spać jak najdłużej, śniąc natrętne i mroczne obrazy. W jednym z nich na moście zawieszonym ponad zamgloną przepaścią stoi kobieta

odwrócona plecami. W innym w głębi wilgotnego lasu pulsuje neon o barwie przezroczystej krwi. Jeszcze w innym środkiem łąki kroczy męczyszna, a rdzawa chmura nad jego głową otacza go równomiernym cieniem.

I wiesz, że obudzisz się, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Przypominasz sobie, jak któregoś wieczoru zwlokłeś się z łóżka, poszedłeś do kuchni i na wiszącym nad stołem kalendarzu nagryzmoliłeś krótki tekst, któremu nadałeś tytuł HISTORIA MIŁOŚCI. Składał się z trzech zdań: „Po ulicach chodzą ludzie i zadają ciosy nożami. Lecz wpiertuła się do siebie i pieszczą. Dopiero później kaleczą.” Te pretensjonalne zdania zapadną ci głęboko w pamięć. Będziesz powtarzał je po cichu nawet w największym tłoku.

W czasie służby musisz stykać się z gośćmi hotelu, ale są to kontakty czysto formalne, właściwie nieistniejące. Ledwo skręcasz w przeczynę, przy której znajduje się twój dom, modlisz się, by nie natknąć się na portiera, Serba w średnim wieku, który na twój widok gotów jest przymilać się łamaną angielszczyzną. Czekaając na windę, rozglądasz się niespokojnie w nadziei, że nie nadejdą inni, a gdy musisz jechać w towarzystwie, odwracasz się, by studiować zawilgości mozaiki art déco na suficie windy.

Może dlatego nie uświadamiasz sobie wrażenia, jakie wywiera na tobie jego niespodziewane pojawienie się, gdy któregoś z tych ponurych dni wsiada do windy i staje tuż obok. Najpierw przypatrujesz się długiemu płaszczowi, potem dostrzeżasz jasną, delikatną twarz. Ma najwyżej trzynaście lat; mimo wątłej budowy jest wyrośnięty. Zanim wysiądzie na czwartym piętrze, przez ułamek sekundy spojrzy na ciebie wilgotnymi oczyma przypominającymi ślepią sarny. Wystarczająco długo, byś dostrzegł zarzewie buntu tłące się w głębi jego źrenic.

Pogrążony bez reszty w konstruowaniu misternych planów powrotu do kobiety, której nie przestałeś kochać, prawie nie zauważysz, że owo spojrzenie zdoła przebić się przez warstwy mrocznych myśli niczym światło księżycą przez zasłonę nocy. Tego wieczoru bowiem, jak co dzień, będziesz czekał na jakąś wiadomość, list lub telefon, tłumacząc sobie, że tych pięciu lat spędzonych z Galią nie można po prostu wymazać z pamięci, że musi nadejść dzień, w którym znajdziecie się razem na zatłoczonej Pięćdziesiątej Siódmej lub w jakimś zakątku Central Parku, a wtedy obejmiecie się i zapomnicie o waszych ranach.

2

Na dziennej zmianie, mimo zwykłego o tej porze nadmiaru gości i rutynowych obowiązków, czujesz się lepiej. Zajęty wydawaniem kluczy obserwujesz z rozbawieniem, jak twarze biznesmenów, wykrzywione sztucznymi uśmiechami, tężeją w bólu, gdy między ich wyciągniętymi do uścisku dłońmi przeskakują iskry z naelektryzowanych powierzchni nowych dywanów.

Zza kryształowego parawanu obejmującego Peacock Alley dochodzą dźwięki fortepianu. Nucąc pod nosem, postanawiasz po zakończeniu służby pojechać do Galii. Nie, nie chcesz do niej dzwonić, uprzedzać o wizycie. Wiesz dobrze, że zaraz zaczęłaby coś podejrzewać, a odmowa byłaby dla ciebie nie do zniesienia.

Rzucasz spojrzenia w głąb hallu, tam gdzie stoi masywny zegar pokryty płaskorzeźbami; jego cztery tarcze, zwrócone na cztery strony świata, zwieńcza połączana miniatura Statuy Wolności wsparta na mosiężnych orłach ze skrzydłami gotowymi do lotu. Jak dotąd było to jedyne miejsce, którego starannie unikały twoje oczy. Ale tego popołudnia spoglądasz na rzeźbę z ufnością.

3

Kilka godzin później prawdziwa Statua Wolności ukaże się za oknem promu płynącego w kierunku Staten Island, gdzie w niedużym, omiatanym atlantycką bryzą domu jeszcze nie tak dawno mieszkałeś z Galią. Kołyszący się prom, wypełniony uczniami i gospodyniami wracającymi z zakupów, przypomina ciemną poczekalnię prowincjonalnego dworca. Wciśnięty w kąć twardej i lepkiej ławki próbujesz dojrzeć przez zapocone okno światło pochodni. Z trudem odnajdujesz tamto wzruszenie, kiedy zobaczyłeś statwę po raz pierwszy, niczym obraz z zapamiętanych filmów. Miałeś nadzieję rozpocząć wszystko od nowa; niedługo potem poznałeś Galię.

Prom cumuje u nabrzeża Świętego Jerzego, a ty, zdjęty trwogą, nie masz siły się podnieść. Nie wiesz, czy wysiąść, czy wracać na Manhattan. To drugie rozwiązanie pociąga za sobą spotkanie z portierem, sąsiadami i fiolką tabletek nasennych, które i tak cię nie uchronią przed zmorami nocy. Zbierasz więc resztki sił i ruszasz w stronę trapu.

Przejdiesz wolnym krokiem całą Bay i dopiero przy Clinton wyciągniesz rękę na widok przejeżdżającej taksówki. Siedząc w odrętwieniu, starasz się przywołać z pamięci bardziej radosny obraz, ale bez powodzenia. Prosisz kierowcę, żeby stanął kilka przecznic wcześniej. Wsiadasz. Krew w skroniach pulsuje coraz silniej i nie

umiesz powstrzymać narastającego drżenia. Wiesz, czego się boisz. Boisz się, że Galia już nie mieszka sama. Drzwi otworzy ci jakiś obcy facet, zapyta, czego chcesz, a ty nawet nie będziesz miał prawa dać mu w mordę.

W domu nie ma nikogo. Dzwonisz jeszcze kilka razy i wlepiasz wzrok w okno jej pokoju, usiłując dojrzeć jakiś cień za firanką. Będziesz stał cały kwadrans koło furtki, po czym zaczniesz chodzić tam i z powrotem wzdłuż płotu okalającego ogród przed drewnianym jednopiętrowym domkiem. Usłyszysz z oddali jęk syreny. Odwrócisz głowę w stronę zatoki, lecz nie zobaczysz żadnego statku. Jedynie na wydmie porośniętej kępami traw dostrzeżesz stado mew zajętych dziobaniem psiego ścierwa.

Postanawiasz napisać list. Układając w głowie jego treść, szybko dochodzisz do wniosku, że pogorszysz i tak już beznadziejną sytuację. Będzie lepiej, jak po prostu odejdziesz. Mijając stado mew, odkrywasz ze zdumieniem, że to, co dziobią, nie jest ścierwem psa – jest ścierwem ogromnego szczura.

4

Wracasz na Manhattan wściekły. Nie spoglądasz nawet, gdy prom przepływa obok Statuy Wolności. Masz dosyć tych wszystkich zabiegów, by zbliżyć się do Galii. Po wyjściu z przystani chcesz zadzwonić do kogoś ze znajomych. Wchodzisz do budki, wertujesz książkę telefoniczną, by za chwilę zrezygnować z poszukiwań. Z kim właściwie chciałbyś się spotkać i dlaczego? Aby znaleźć się w towarzystwie tych, którzy przypomną ci twoją przeszłość? I tak nie unikniesz pytań o Galieję.

Wędrujesz alejkami Battery Parku tylko po to, by nie wracać do domu. W końcu wmawiasz sobie, że najlepszym wyjściem, niemal zbawieniem, mogłoby dla ciebie być coś równie podłego jak twój nastrój, i po kwadransie jazdy metrem, na Times Square, skręcasz w wilgotny korytarz do kruszejącej salki kina porno.

Z biletem w rękę wspinasz się wąskimi schodami na drugie piętro. Przy wejściu wita cię tęga brunetka. Jej ciało wylewa się z obcisłego bikini, a spod czerwonych majtek wystają kępki grubych, kręconych włosów. Pociągając delikatnie za jedną z nich, pyta, czy nie masz przypadkiem ochoty na prywatny pokaz na zapleczu. Gapiąc się na złuszczony lakier jej paznokci, odpowiadasz, że jeszcze się zastanowisz, może po seansie, i wchodzisz na salę.

Ekran wypełniają ciała czterech par poruszających się w rytm muzyki klasycznej. Właśnie trwa wyścig o to, która z pań najszybciej

wysie swego partnera. Wśród zawodników biega nerwowo łysawy facet; mierzy czas na stoperze, gratuluje zwyciężczyni, a potem wręcza jej nagrodę w kształcie złotego fallusa. W kolejnej rundzie panowie wysysają swoje partnerki. Widzowie zajmujący pierwsze rzędy rechoczą po każdej wypowiedzi sędziego. Tuż przed tobą chrapie Murzyn ubrany w kurtkę ze sztucznego futra. W trakcie seansu po sali krąży szóstka dziewcząt proponujących widzom dodatkowe atrakcje na zapleczu. Niektórzy podnoszą się z foteli i podążają za swymi kusicielkami w kierunku drzwi, zza których, jak krew z rany, sączy się purpurowe światło.

Zamykasz oczy i przywołujesz z pamięci obraz Galii. Widzisz, jak stoi rozebrana w półmroku pokoju, który wynajęliście na parę dni w tanim hotelu w Montrealu. Przyciskasz ucho do jej piersi, pragnąc wsłuchać się w coraz szybszy rytm jej serca. Otwierasz oczy i widzisz jej brzuch zasłaniający ekran. Zaskoczony unosisz głowę.

Naga Murzynka uśmiecha się i proponuje ci prywatny seans. Odmawiasz. Murzynka znika w ciemnościach, by w przerwie między pierwszym a drugim filmem pojawić się pod ekranem na niewielkiej estradzie. W świetle starego reflektora kołysze biodrami, a ty myślisz, że jej figura i wyraz twarzy w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób przypominają ci Galie. Wkrótce na estradzie zmienia ją dziewczyna, która sprawdzała bilety. Zdejmuje bikini i odrzuca je za siebie, wywołując aplauz widowni. Gwizdami i okrzykami mężczyźni wyrażają podziw dla gęstości jej owłosienia. Interludium kończy się występem apatycznego tria. Dziewczyny rozbierają się niedbale, nie patrząc nawet w stronę widzów. Każda z nich ściska pod pachą torebkę.

Akcja kolejnego filmu rozgrywa się w luksusowo urządzonym apartamencie na najwyższym piętrze drapacza chmur. Za panoramicznymi oknami pada śnieg, podczas gdy w basenie z podgrzewaną wodą pluskają się dwie nimfy. Wokół nich kwitną egzotyczne rośliny,

a dziewczęta wychodzą na brzeg, całują się i pieszczą, posyłając do kamery uśmiechy pełne udawanej rozkoszy. Zabawiając się, czekają na przybycie chłopca na posyłki, osiłka o twarzy imbecyla i imponujących genitaliach.

Odwracasz oczy od ekranu i usiłujesz odnaleźć znajomą sylwetkę Murzynki. Przechadza się wzdłuż rzędów foteli i natychmiast podchwytuje twoje spojrzenie. Podchodzi do ciebie, uśmiecha się. „Chcesz mnie?” Nie odpowiadasz. „Chodź!” – nalega i bierze cię za rękę przekonana, że nie stawisz oporu. I nie myli się. Pozwalasz się prowadzić w stronę krwawiącego światła drzwi.

Długi korytarz zakręca kilka razy; mijasz szereg wąskich drzwiczek i docierasz do pokoiku, którego tapetę w kolorze brudnej róży wyrzuciła panująca wszędzie wilgoć. Pośrodku stoi kozetka obciągnięta płachtą folii załatanej taśmą klejącą. W rogu, przy ścianie, są jeszcze miska z wodą oraz blaszane pudło z papierowymi ręcznikami.

Folia chrzęści, gdy dziewczyna sadza cię na brzegu kozetki i wsuwa rękę do wewnętrznej kieszeni twojej marynarki. Wyłuskuje portfel, ślini palce, odlicza osiemdziesiąt dolarów, wszystko, co masz przy sobie, i wachluje się plikiem banknotów, czekając na twoją reakcję. Nie sprzeciwiasz się. Dziewczyna chowa pieniądze do torebki, a ty, zapatrzony w jej ciemną sylwetkę obrysowaną światłem czerwonej żarówki, widzisz Galię, jak nago przechadza się po pokoju i zatrzymuje w wystudiowanej pozie. Galia zbliża się, klęka i zaczyna rozpinać ci spodnie. Powstrzymujesz ją łagodnie, osuwasz się na kolana i wtulasz głowę w jej piersi. Czujesz, jak pod rozpaloną skórą bije jej serce.

Zamykasz powieki – twoje ciało pulsuje tym samym głuchym, nieprzerwanym rytmem – a wtedy słyszysz cichy chrobot i stłumiony pisk. Otwierasz oczy. Dopiero po paru sekundach dostrzegasz

pod ścianą cień szczura. Stoi na tylnych łapkach i węszy dokoła. Dziewczyna krzyczy i ciska w intruza torebką. Nie trafia. Torebka uderza o ścianę tuż ponad zadartym pyskiem, rozsypując garść banknotów. Szczur obwąchuje jeden z nich, chwytą go w zęby i bez pośpiechu odpełza w ciemny kąt.

Zapominając o tobie, Murzynka zrywa się z kolan i nerwowo zbiera pieniądze, jakby w obawie, że inne szczury, przyczajone teraz w swych kryjówkach, nagle wyskoczą i rozkradną cały jej majątek. Ogarnięty wstrętem wychodzisz.

Włóczysz się bez celu do późnej nocy, nieuchronnie zbliżając się do mieszkania. Gdy skręcasz we Wschodnią Sześćdziesiątą, słyszysz wysoki wibrujący ton, rozcinający ciszę ulicy niczym ostrze brzytwy. Zatrzymujesz się. Dźwięk odbija się echem pośród wysokich ścian, ale nie potrafisz dojrzeć, skąd dochodzi. Dopiero przy skrzyżowaniu z Drugą Aleją wyławiasz z mroku postać grającą na kornecie. Pamiętasz go, tylko jeszcze nie wiesz skąd. Podchodzisz bliżej i rozpoznajesz chłopca, którego spotkałeś w windzie. Ma na sobie nawet ten sam przydługi płaszcz.

Chłopiec przestaje grać i spogląda na ciebie, a ty myślisz, że zbyt pochopnie obliczyłeś jego wiek. Jego twarz jest twarzą tak dziecka, jak i starca. Mamroczesz „Przepraszam” i odchodzisz.

5

Gdy tylko zjawisz się w hotelu, dowiesz się, że Neil Stainton, jeden z nocnych portierów, został zwolniony z pracy. Jakaś szwajcarska turystka poleciała na skargę do dyrektora, ponieważ Neil upuścił jej walizkę, do której zapakowała rzekomo cenny wazon. Również niedawno pewien niemiecki przemysłowiec żalił się, że Neil był pijany w czasie służby. Tak więc szef wpadł w szal.

Pocziwy, stary Neil. Dla każdego miał dobre słowo. Kto znalazł się w kłopotach, zawsze mógł liczyć na jego pomoc. To prawda, że gardził nuworyszami, którzy traktowali go z góry, żądając jedynie służalczości. Dla nas Neil był żywym symbolem dawnych, wspaniałych czasów Waldorf Astorii. Był kimś.

Pochodził z Surrey, gdzie jego matka pracowała jako kucharka w rodowej posiadłości lorda Hardy'ego-Earle'a. Tam Neil wychował się i nabrał manier: lubił popisywać się opanowanym do perfekcji akcentem angielskiej arystokracji i gardłował wówczas z wyciągniętą szyją niczym indyk. Od śmierci żony, którą potrafiła ciężarówka na Czterdziestej Szóstej, Neil zmienił się nie do poznania. Gdy wcześniej pozwalał sobie na żarciki na jej temat, czy w ogóle pokpiwał z instytucji małżeństwa, od tamtej tragedii zamknął się w sobie i stał się roztargniony do tego stopnia, że każde polecenie trzeba było mu powtarzać kilka razy. Szef miał już tego dosyć. Znalazł pretekst i wylał Neila na zбитy pysk.

Laura, zmienniczka z recepcji, opowiada ci o tym, a ty żałujesz starego, wiedząc, ile nieszczęść zważyło mu się na głowę w ciągu jednego tylko roku. Na pożegnanie Neil przynosi bukiet kwiatów i bombonierkę, a potem, udając, że nic wielkiego się nie stało, zakłada gumową maskę Reagana: nie po to, by nas rozbawić, lecz by ukryć wzruszenie. Odchodząc, pyta, czy nie miałbyś ochoty wpaść do niego na kielicha. „Czemu nie, tylko kiedy?” „Choćby dzisiaj” – odpowiada.

Zajęty porządkowaniem rezerwacji nie zauważasz, że przy kontuarze stoi szpakowaty mężczyzna; wystrojony w płócienną marynarkę, z wyszytym na rękawie emblematem Yves St. Laurenta, bawi się z włochatym stworzeniem, które postawił wcześniej na ladzie recepcji. Podnosisz głowę znad rejestru i widzisz, że stworzenie ozdobione różową wstążeczką jest najprawdziwszym szczurem, tyle że oswojonym. Mężczyzna podnosi go ostrożnie, całuje w pyszczek, a potem czeka, aż szczur polizze jego gładko wygolony policzek. Stawiając szczura na kontuar, zwraca się do ciebie uprzejmie z francuskim akcentem: „Lubi pan zwierzątko?”

Odpowiesz, że nie, lecz Francuz nie zamierza odejść, tylko dalej uśmiecha się porozumiewawczo. Wiesz, że powinieneś go grzecznie poprosić, by natychmiast schował szczura, którego widok mógłby wywołać niepotrzebną panikę, ale nie odzywasz się ani słowem. Nikt nie zwraca na was uwagi, prawdopodobnie dlatego, że szczur ma długą, puszystą sierść i kolorową kokardę. Tak czy owak, goście Waldorf Astorii przyzwyczajeni są do rozmaitych dziwactw.

Odwracasz się i udajesz zajętego segregowaniem poczty. „Szkoda, że nie lubi pan szczurów... – słyszysz za sobą. – Kocham moją Sissy bardziej niż Paryż... Kiedy urządzam przyjęcie i gości ogarnia nuda, przynoszę Sissy i zabawa rozkręca się od nowa... Raz w roku – ciągnie niezrażony brakiem twojego zainteresowania – zapraszam wszyst-

kich przyjaciół na jej imieniny do naszego domu w Wenecji. Sissy paradytuje wtedy w specjalnym kapelusiku... To już niedługo, prawda, moja mała? – mruczy do swego szczura. – Nasi przyjaciele nie mogą się już doczekać... À propos – zwraca się do ciebie – był pan kiedyś w Wenecji? Kręcisz głową. „Niemożliwe! Musi pan koniecznie pojechać... Najlepiej z kimś, kogo pan kocha. Może się pan zatrzymać u mnie w domu... Ach, cóż to za wspaniałe miasto!” – wykrzykuje podekscytowany.

„To miło z pana strony – mówisz oficjalnym tonem. – Czy mogę panu czymś jeszcze służyć?” Nie reagując na twą lodowatą formułkę, Francuz głaszcze Sissy po grzbiecie. „Chyba wybiorę się dziś do Metropolitan Museum – rzuca jakby od niechcienia. – Wie pan, że przypomina mi ono amerykański sandwicz? Ogromne, wszystko ze sobą pomieszane i bez smaku.”

Zbierając się do odejścia, Francuz przytula Sissy do piersi i mówi z zagadkowym uśmiechem: „Widzę, że pan cierpi”. Opuszczasz oczy, czerwienisz się. „A może kupi pan sobie małego szczura? – kontynuuje. – Nauczy się pan nim opiekować, pokocha go. Proszę mi wierzyć, nic już pana nie będzie niepokoić. Szczury to bardzo inteligentne stworzenia.”

Czujesz się tak, jakbyś śnił jeden ze swych natrętnych koszmarów – tu, pośrodku recepcji hotelu Waldorf Astoria, który jest centrum Manhattanu, który jest pępkiem świata – a gdy Francuz salutuje i odchodzi, zdajesz sobie sprawę, że w tym stanie ducha tylko krok dzieli cię od podjęcia kolejnej desperackiej wyprawy na Staten Island.

Myślisz gorączkowo, jak temu zapobiec. Może skorzystać z zaproszenia Neila? Ale zapomniałeś zapytać go o adres. Z biura dyrekcji właśnie wraca Laura. Niestety i ona nie wie. Trzeba będzie zapytać kogoś, kto zna go dłużej.

Wskazując na swój aparat słuchowy, mężczyzna o krzaczastych bokobrodach podchodzi do recepcji i pyta, gdzie mógłby nabyć nowe baterijki. „Zaraz pana zaprowadzę” – odpowiadasz uprzejmie, znajdując pretekst, by wymknąć się z za lady. Zostawiasz starego przy kiosku, a sam zaglądasz do Hideaway Room, gdzie wieczorami grywa na fortepianie George Feyer. Pytasz barmana o adres Neila, lecz i on nie wie. Pamięta jedynie, że Stainton mieszka gdzieś przy Grand Central.

Szerokimi marmurowymi schodami zbiegasz do podziemnych kondygnacji. W restauracji Inagiku japońscy kelnerzy tańczą między nielicznymi o tej porze gośćmi schowanymi w oddzielnych bok-sach. Wyciągając głowę ponad bambusowe przepierzenie, szukasz wzrokiem Akida, starego przyjaciela Neila. Zaczepiasz kierownika sali, ale ten oznajmia, że Akido ma akurat wolne.

Mijasza imponujących rozmiarów portret Conrada N. Hiltona (obrzuca przechodzących wgardliwie łagodnym spojrzeniem) i wpadasz do Sir Harry's Bar. Tu także nikt z personelu nie zna adresu. Dopiero po kilkunastu minutach poszukiwań, w Empire Room z jego lustrzanymi drzwiami i dwoma piętrami balkonów, odnajdujesz sprzątaczkę Sarę zgarniającą rozsypane na posadzce resztki confetti. Od niej dowiadujesz się, że Stainton mieszka na-przeciw gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych, między Czterdziestą Drugą a Czterdziestą Trzecią.

6

Jego mieszkanie znajduje się na dziewiątym piętrze przyzwoicie utrzymanej kamienicy Tudor City. Otworzy ci ubrany w czarną marynarkę i białą koszulę z fantazyjnie przewiązanym krawatem. Widać, że cieszy się z twojej wizyty. Poklepuje cię po plecach i prosi do środka. Jesteś zaskoczony, jak bardzo fasada kamienicy kontrastuje z wnętrzem jego salonu zawalonego stosami gazet. Ułożone pod ścianami, piętrzą się niemal pod sufit. Tak jakbyś wszedł do składnicy makulatury.

Pośród resztek kompletu mebli w stylu edwardiańskim dostrzeżasz elektroniczny stół *Najeźdźców z kosmosu*, którego szklany ekran przemierzają błękitne pojazdy międzyplanetarne. Stojąca na brzegu opróżniona do połowy butelka haiga mieni się refleksami światła. „Kupiłem tę grę, by sprawić sobie radość na stare lata.” Neil sięga po szklaneczkę whisky i podnosi ją do ust. Kiwasz głową i wskazując na sterty gazet, pytasz, czy nie obawia się pożaru. „No, no, uważaj. – Grozi ci palcem. – Gadasz tak samo jak mój dozorca. Każą ci wierzyć, że żyjesz w najbardziej demokratycznym kraju na świecie – ciągnie z goryczą – a w rzeczywistości śledzą cię na każdym kroku. Niby wolno ci wszystko, a tak naprawdę wszystko jest zakazane.” Macha ręką z rezygnacją i proponuje, byście rozegrali kolejkę. Siadacie po obu stronach stołu i po kwadransie kanonady, eksplozji pocisków i jazgotu runda kończy się twą całkowitą porażką.

W ciszy, jaka zapada, Neil nalewa ci drinka i przesiada się na wygodny fotel. „Jeszcze do niedawna spędzałem całe dni, słuchając radia. Nie mogłem znieść samotności i własnych myśli. Ale od kiedy kupiłem ten kosmiczny stół, każdą wolną chwilę poświęcam na trening. Szczeniaki mają rację. To jest sto razy lepsze niż radio czy telewizja: przynajmniej masz zajęte ręce”.

Zamyka oczy, po policzku spływa mu łza. Nie wiesz, co powiedzieć. W końcu Neil przerywa kłopotliwą ciszę. Opowiada o miłości do Rosy, o tym, że wciąż ją kocha i nie widzi sensu w porannym wstawaniu z łóżka, parzeniu kawy, goleniu się, ubieraniu. „Wiesz, kilka dni temu, podczas nocnej zmiany, poszedłem do magazynu po parę czystych rękawiczek – zwierza się półgłosem – i zaraz za progiem potknąłem się i upadłem. Byłem przytomny, nic mnie nie bolało, ale nie wstałem. Nie chciało mi się. Leżałem tak chyba z godzinę i, wierz mi, było mi wszystko jedno”. Podnosi głowę, spogląda na fosforyzujące sylwetki, które dryfują wzdłuż ekranu kosmicznego stołu, i mówi z uśmiechem: „W tej grze jest wiele okrucieństwa. Te nieszczęsne widma krążą po ekranie, nie mogąc przekroczyć jego brzegów. Nie mają wyjścia!”.

W twej głowie – niczym owe mechaniczne cienie płynące po ekranie – zjawiają się i znikają natrętne obrazy Galii. Szukasz słów, by dodać Neilowi otuchy, lecz ich nie znajdujesz. „Spójrz na te stosy gazet. – Neil z trudem podnosi się z fotela, coraz bardziej pijany. – W jednej z nich znajdziesz notkę o śmierci Rosy, ledwie kilka zdań. Pomyśl, w każdej gazecie, prawie na każdej stronie jest jakaś wiadomość o śmierci. Raz dotyczyć będzie setek ludzi, innym razem wypadku zwykłego przechodnia. Widzisz, ile tego jest? A teraz wyobraź sobie... na przykład ja albo ty... kóregoś pięknego dnia... i nie napiszą nawet jednego słowa, o ile umrzemy zwykłą śmiercią. W ostateczności zostaną po nas tylko cholerne klepsydry!”

Słuchasz starego z rosnącym zdumieniem. Nigdy wcześniej nie przyszło ci do głowy, że ów czarujący, dowcipny Neil, wpatrzony hipnotycznie w stopy starannie poukładanych egzemplarzy „New York Timesa”, może wyrzucić z siebie tyle desperackich zdań. Czujesz lęk. Lęk, że twoja samotność stanie się – o ile już się nie stała – kopią samotności Neila; przedwczesną emeryturą człowieka skazanego na cztery ściany swoich gorzkich myśli; dzień taki jak wczoraj: filiżanka kawy, pusta cisza i ty – lokator zagłębiony w lekturze gazet zadrukowanych tymi samymi co zwykle doniesieniami: o kryzysach, korupcji i śmierci. Ty – który nie masz powodu widzieć się z kimkolwiek. Ty – któremu brakuje odwagi, by szukać, zadowolony, że w ogóle wyszedłeś z domu: do pracy, sklepu, dokądkolwiek... Wstajesz z fotela i pytasz Neila o toaletę. Pijanym gestem wskazuje ci korytarz.

Gdy zamykasz drzwi, słyszysz okrzyk starego: „Tylko uważaj, żeby szczury nie odgryzły ci jaj!”. Nie jesteś pewien, czy Neil jest już tak pijany, czy... Wracasz więc do pokoju i pytasz, co miał na myśli. Neil dopija szklaneczkę whisky i wyjaśnia, że gdy wczoraj mył ręce, posłyszał w łazience dziwny chrobot, a zaraz potem głośny plusk. Podszedł do muszli, skąd dolatywały dziwne odgłosy, podniósł ostrożnie klapę i ujrzał szczura zanurzonego do połowy w wodzie. Natychmiast zadzwonił po dozorcę, lecz gdy ten się zjawił, szczura już nie było. Dozorca próbował zbagatelizować cały incydent, przyparty do muru wyznał jednak, że słyszał już o podobnych przypadkach w sąsiednich kamienicach. Tłumaczył to bliskością East River. „O ile to prawda – Neil śmieje się – cały gmach ONZ został sterroryzowany: tam szczury mają najbliżej”.

Opadasz na fotel i z przejęciem opowiadasz o swoich przygodach ze szczurami: obok domu Galii i w porno kinie, o Francuzie i jego Sissy. Neil słucha z uwagą, kiwa głową i przypomina sobie jeszcze jeden szczegół. Otóż właśnie dziś, zaraz po powrocie z hotelu, poszedł do

łazienki i zobaczył na sedesie wyraźne ślady łapek. Ni stąd, ni zowąd wybuchła śmiechem i proponuje ci wypicie zdrowia szczurów.

Nie zdołasz oprzeć się pokusie ponownego obejrzenia łazienki. Po zamknięciu drzwi badasz wzrokiem muszlę, nie znajdując tam niczego szczególnego. Myślisz, że stary pewnie zmył ślady łapek. Ale czemu miałby to robić? – pytasz samego siebie. Przecież nie należy do ludzi, którzy sprzątają własne mieszkania, by zatrzeć ślady przeszłości.

7

Wychodzisz pijany, nie budząc Neila skulonego w fotelu. Nie chce ci się szukać taksówki ani najbliższej stacji metra. Wieżowce Lexington Avenue kołyszą się na wszystkie strony. Jadące z zawrotną szybkością samochody atakują cię, gdy tylko próbujesz przejść jezdnię. Hamując z piskiem opon, kierowcy wrzeszczą na ciebie, a chromowane chłodnice ich samochodów szczerzą kły pod oczodołami reflektorów, gotowe skoczyć ci do gardła i rozszarpać na kawałki.

Zatrzymujesz się na Pięćdziesiątej Czwartej, opierasz o mur budynku i przebiegasz wzrokiem srebrzystobiałą elewację Citicorp Center. Smukły wieżowiec wygina się coraz niebezpieczniej, niemal nie do zniesienia, i jesteś pewien, że za chwilę przełamie się wpół jak zapalka, a krawędź jego trójkątnego dachu zgilotynuje przechodniów. Chcesz krzyknąć, by ostrzec ich przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, lecz nie umiesz wydobyć z siebie głosu.

Skręcasz z Lexington Avenue i zatrzymujesz się w cieniu domu towarowego Bloomingdale's. Po drugiej stronie ulicy na plastikowej skrzynce po coca-coli siedzi tęga kobieta zabandażowana w resztki starych pończoch, sukien i płaszczy. Oparta o wylot wentylatora kuli się w strumieniu gorącego powietrza; zawsze w tym samym miejscu, zawsze w tej samej pozycji, zwinięta jak embrion, z twarzą zatopioną w otwartych dłoniach, trwa tam od lat z tą samą nieładzką

determinacją co ów Murzyn w wełnianej czapce, który nigdy nie opuszcza wejścia do MoMA.

Często, mijając ją, słyszysz, jak mamrocze coś do siebie, ale nigdy nie masz odwagi przystanąć i posłuchać. Wręcz przeciwnie, zawsze przyspieszasz i odwracasz głowę, by uniknąć widoku jej masywnych, obrzękłych łydek pokrytych otwartymi ranami jedzonymi przez brud. Ktoś powiedział ci, że jest właścicielką kilku kamienic. Brzmiało to jak kawał, ale kto wie. Teraz, gdy whisky dodała ci animuszu, będziesz gotów podejść i spytać, czy to wszystko prawda, ale poczucie szacunku, nagłej litości czy też wstydu sprawi, że porzucisz ten zamiar.

Na pobliskiej stacji kolejki linowej kołysze się nadjeżdżający wagon. Jakiś spóźniony pasażer, może turysta, macha ci przyjaźnie ręką, tak jakby cieszył się, że zjechał szczęśliwie z Mount Everestu. Machinalnie pozdrawiasz go i wracasz do domu.

8

Budzisz się z potwornym bólem głowy. Zegar pokazuje południe. Na szczęście pracujesz na nocną zmianę. Idziesz do kuchni ugasić pragnienie, ubierasz się i zjeżdżasz do hallu.

Portier posyła ci wymowne spojrzenie: mówi ci w sekrecie, że widział, jak wczoraj wracałeś kompletnie pijany. Uprzejmie tłumaczysz mu, że byłeś zaproszony na pożegnalne przyjęcie, i aby uciąć dalszą dyskusję, pytasz o chłopca z czwartego piętra, który gra na kornecie. Portier nie bardzo wie, o kogo chodzi, i swą kulawą angielszczyzną prosi, byś opisał jego wygląd. Nie idzie ci to zbyt składnie. Serb kręci głową i przysięga, że nikt taki nie mieszka w budynku. Na czwartym piętrze mieszka wprawdzie małżeństwo z dzieckiem, lecz chłopiec ma nie więcej niż cztery lata. Poza tym nikt tam nie gra na żadnym instrumencie. Właściciel kamienicy nie życzy sobie hałasów. Portier zapewnia, że nigdy nie widział kogoś odpowiadającego twemu opisowi, i dodaje, że w stanie, w jakim byłeś zeszłej nocy, mogłeś widzieć nawet samego marszałka Titę. Uśmiechasz się kwaśno i wracasz na górę.

Leżysz na dywanie, patrząc tępo w sufit. W głowie, zmieszane z resztkami alkoholu, tłuką ci się – niczym refleksy pojazdów międzyplanetarnych z kosmicznej maszyny Neila – obrazy minionych zdarzeń. „Prawda, że nie ma wyjścia?” Powiesić się, pójść do kina, włączyć telewizor? I tak nie potrafisz przestać myśleć o Galii.

Nie ruszając się z podłogi, wybierasz pilotem kanał 23 i słyszysz zaproszenie do podróży w świat potworów i bestii, którą zaplanowano na siódmą wieczór, w sobotnią noc zaś nad światem zawiśnie widmo zagłady. Tymczasem zaczyna się program o życiu erotycznym. Gospodarz programu rozmawia ze specjalistką w dziedzinie stymulowanych orgazmów. W trakcie wywiadu kobieta poprawia okulary w rogowej oprawie, które raz po raz zsuwają się jej ze spoczonego nosa.

Następuje prezentacja czwórki statystów. Jeden z nich został wcześniej spryskany „eliksirem miłości”. Specjalistka ma zgadnąć który. Trafia bez pudła. Zaskoczona na równi z publicznością w studio, śmieje się i oświadcza, że kupi ów specyfik mężowi pod choinkę. Sięga po torebkę, wyjmuje notesik i zapisuje nazwę reklamowanego specyfiku.

Wstajesz z podłogi i robisz to samo. Zapisujesz nazwę jak idiota, który machinalnie chwytą się wszystkiego, co dałoby mu przynajmniej cię szansy u Galii. Opanowuje cię nieznośne uczucie zazdrości. Ktoś taki jak ów uśmiechnięty statysta, nawet gdyby nie był spryskany „eliksirem miłości”, mógłby bez trudu zbliżyć się do Galii. A ty nie możesz. Ów lalusz, wolny od ciężaru wspomnień, wsiałby po prostu na pokład promu płynącego na Staten Island, zadzwonił do drzwi, przedstawił się i zaprosił na drinka, do kina, gdziekolwiek.

Ostatecznie łapiesz się na tym, że rozumujesz jak zupełny kretyn, wyłączasz telewizor i idziesz do łazienki. Siadając na desce, słyszysz podejrzane odgłosy wydobywające się z głębi muszli. Nerwowo sprawdzasz, czy z wody nie wynurza się pysk szczura.

9

Miasto przygniatają ołowiane chmury, krople deszczu siekają cię po twarzy, lecz nie chce ci się wracać po parasol. Zakupy robisz zwykle w Sloans na rogu Sześćdziesiątej i Drugiej Alei, jednak tym razem zmieniasz trasę i idziesz prosto do delikatesów położonych koło stacji kolejki linowej.

I wtedy go dostrzegasz. Dokładnie tam, gdzie go spotkałeś przedwczoraj. Ma na sobie ten sam obszerny płaszcz. Musi tu tkwić od dobrych paru godzin, płaszcz bowiem ocieka deszczem. Ostrożnie zbliżasz się, jakby w obawie, by go nie spłoszyć, i pytasz, czy cię pamięta.

Spojrzy na ciebie swym stanowczym wzrokiem i skinie głową. W gorączkowych słowach wyrazisz podziw dla jego gry na kornecie, a potem spytasz, czy nie ma nic przeciwko temu, abyście gdzieś porozmawiali. Ponieważ nie odpowiada, pytasz, jak się nazywa, gdzie mieszka, przepraszając za natarczywość. W końcu gubisz się, milkniesz i opuszczasz głowę, nie mogąc znieść jego wzroku. A kiedy jesteś pewien, że zaraz obróci się na pięcie i zobaczysz jego plecy ginące w tłumie, słyszysz jego cichy głos: „Napiliśmy się gorącej herbaty”.

Jeszcze przed chwilą chciałeś zasypać go gradem pytań, lecz gdy znajdujecie wolny stolik w wyziębionym wnętrzu Tramway Café,